Cena 50 gr.

Przyjaciel PSA

MIESIĘCZNIK

Rok I | Czerwiec 1936 | Nr. 6

JERZY SETTON

Pies który doczekał się monografji

„Flush" — spaniel Elizabeth Barrett. Browning, słynnej poetki angielskiej i żony wielkiego poety, jest bodaj jedynym okazem w psich dziejach, którego żywot spisano w sporej biografji; wyszła ona spod wytrawnego i wytwornego pióra literackiego. Pani Virginia Woolf, jedna z najsubtelniejszych pisarek spółczesnej Anglji, autorka wielu powieści i essayów, godna spadkobierczyni tradycyj literackich Elizabeth Barrett, sama uznaje książkę „Flush. A Biography" *) za jeden z najlepszych swoich utworów.

Ale też Flush godzien jest takiego pióra jak pani Woolf — ze względu na swoje wysoce arystokratyczne pochodzenie, na niezwykłe przygody, na całkiem wyjątkową przyjaźń, jaką łączyła go ze słynną poetką, na rolę, jaką odegrał w historji literatury angielskiej, osładzając gorycz życia ułomnej pisarki i będąc najbliższym świadkiem wzruszającego romansu dwojga wielkich talentów.

„Rodzina, z której pochodzi bohater biografji, — powiada pani Woolf, — jest powszechnie uznana za niezwykle starożytną Jeszcze za czasów podbojów kartagińskich zwycięzców wprawiały w zachwyt piękne i sprytne psy, nieporównane w pościgu za królikami, od których roiło się na półwyspie, zwanym dziś Hiszpanją. „Span" — po kartagińsku znaczy królik. Od tego wyrazu kraj nazwano Hispania, a psy, które z taką szybkością i inteligencją uganiały się za „spanami", otrzymały nazwę spanielów".

Skądkolwiekby zresztą nazwa pochodziła, faktem historycznym pozostaje, że spaniele wymieniane są w kronikach średniowiecznych, że były ulubieńcami wielu królów i że zawsze przebywały w towarzystwie ludzi, w których żyłach płynie błękitna krew. Rzadko jednak sam właściciel spaniela mógł się poszczycić tak starożytnem pochodzeniem jak krewni Flusha.

*

Tak tedy pochodzenie przeznaczyło Flusha do żywota wygodnego i sławnego. Urodził się niedaleko miasta Reading w domu dr. Midforda, który był znanym na całą okolicę miłośnikiem psów.

Rok, miesiąc i dzień urodzenia Flusha nie są dokładnie znane. Stało się to gdzieś w początku r. 1842.



Flush towarzyszył Miss Midford na długich spacerach

Wychowaniem Flusha zajęła się panna Midford. Mimo że po śmierci ojca znajdowała się w trudnej sytuacji finansowej, nie chciała przyjąć kilkunastu funtów, które jej proponowali za szczeniaka.

Flush nie był na sprzedaż; mógł stać się tylko przedmiotem cennego daru. Był godzien Miss Barrett, przyjaciółki panny Midford, zamkniętej na całe miesiące w pokoju przy Wimpole Street w Londynie. Miss Barrett godna była Flusha

I oto pewnego dnia wzruszona panna Midford, z Flushem na ręku, pociągnęła za sznurek dzwonka domu nr. 50 przy Wimpole Street, tej najbardziej majestatycznej ulicy Londynu. Była to pierwsza wizyta Flusha, wychowanego na wsi, w wielkim domu stołecznym bogatego kupca Barretta.

Nigdy jeszcze w życiu nozdrza jego nie wciągały tak urozmaiconych zapachów. Przyzwyczajony do prostej kuchni panny Midford, Flush z rozkoszą wchłaniał ciepłe powiewy pieczonych kurcząt, wonnych zup, smażonych mięs, pomieszanych z wonią mahoniu i drzewa cedrowego, licznych ciał męskich i kobiecych, krynolin i spodni, win i cygar. Poprzez liczne pokoje, z których każdy uzupełniał bukiet zapachów, dotarł nareszcie Flush do zamkniętych drzwi, za któremi miało rozpocząć się jego nowe życie.

Były to drzwi do sypialnego pokoju Miss Barrett. Uchyliły się lekko, i Flusha wpuszczono do nawpół ciemnego wnętrza. Odurzył go zapach wody kolońskiej. Ostrożnie zaczął krążyć po pokoju. Poczuł się bardzo samotny. Zatęsknił do swobody, zajęcy i pól, i do panny Midford.

Z rozpaczy zbudził go cichy głos.

„Flush"! — słychać było z kanapy.

Nie był sam. Skoczył ku sofie. Zobaczył Miss Barrett.

„Ciężkie loki zwisały z obu stron twarzy Miss Barrett, — pisze pani Woolf, —



Robert Browning

wielkie jasne oczy oświetlały jej oblicze; duże usta rozwarły się w uśmiechu. Ciężkie uszy zwisały z obu stron mordy Flusha; jego oczy były również wielkie i jasne; jego pysk szeroki. Byli do siebie podobni.

Oboje czuli jednak, że więcej jest między nimi różnic niż podobieństwa. Jej twarz była bladą, zmęczoną twarzą chorego człowieka, odciętego od powietrza, światła, swobody. On zaś miał ciepłą, czerstwą mordę młodego zwierzęcia, pełnego zdrowia i energji...

Czy będą mogli się uzupełnić? Otwierał się między nimi największy rozdział, jaki może dzielić jedną żyjącą istotę od drugiej. Ona mówiła, on był pozbawiony mowy. Ona była kobietą, on był psem. Spoglądali na siebie, tak blisko złączeni i tak głęboko rozdzieleni.

Aż jednym susem Flush skoczył na kanapę i położył się tam, gdzie mu przyszło leżeć na zawsze — u stóp Miss Barrett, na kocu".

*

Nowe życie z Miss Barrett przynosiło wiele niespodzianek i sensacyj.

Latem stan zdrowia Miss Barrett poprawił się natyle, że mogła wyjechać powozem na zakupy. Flush pojechał z nią, oszołomiony ruchem i przepychem Oxford Street, wspaniałością sklepów, tajemniczością nieznanych przedmiotów i zapachów.

Jeszcze ciekawsza była wycieczka obok Miss Barrett, kiedy wywieziono ją pewnego dnia na fotelu. Łapy Flusha po raz pierwszy uderzyły o twardy kamień londyńskiego bruku. Ostre zapachy z podziemi omal nie pozbawiły go przytomności. Przerażony był mnogością nóg ludzkich, szerokością spódniczek, wielkością kół. Gdyby nie smycz — zginąłby, padłby ofiarą ulicy wielkomiejskiej.

Przyzwyczaił się jednak szybko i polubił spacery po ulicach Londynu, do Regent Park, do sklepów.

Bardzo mu było źle, kiedy nastała jesień i okna pokoju Miss Barrett szczelnie zamknięto, a pani przestała korzystać z przejażdżek. Flush ciągle wyrywał się na wolność. Nieraz, posłyszawszy ujadanie psa na ulicy, rzucał się ku drzwiom, ale kiedy Miss Barrett wołała go, kiedy kładła rękę na jego szyi, inne uczucie, władne, sprzeczne i nieprzyjemne potrafiło go powstrzymać.

„Flushie, — pisała w swoich listach Miss Barrett, — to mój przyjaciel, mój towarzysz, i kocha mnie bardziej, niż słońce na wolności".

Ona sama była przykuta do sofy,



Flush

Flush, dla którego cały świat był wolny, leżał u jej stóp.

Flush oddawał Miss Barrett niekiedy wielkie usługi. Bardzo często nie miała biedaczka apetytu, a surowy ojciec gniewał się, jeżeli do kuchni z jej pokoju talerze wracały nietknięte.

Współpraca Flusha była wtedy nieoceniona. Ledwo zamykały się drzwi za służącym, Flush zbliżał się do talerza. Bardzo zręcznie, nie zostawiając najmniejszego śladu, załatwiał się z kotletem baranim czy skrzydełkiem kurzem. Najgęściej kremem podlany pudding nie stanowił przeszkody dla Flusha.

Po oczyszczeniu talerzy, Flush układał się u stóp swojej pani, która z miną osoby, zadowolonej ze smacznego obiadu, przyjmowała wyrazy uznania surowego ojca, że jego rozkazu wysłuchano i obiad ziedzono.

Tego wielkiego starszego pana Flush bał się okropnie.

*

Współżycie Flusha i Miss Barrett było idealne. Rozumieli się coraz lepiej



Tam gdzie Flush się urodził

i coraz bardziej się kochali. Nic nie zakłócało ich przyjaźni.

Aż pewnego styczniowego wieczora r. 1845 Flush zauważył, że jego pani otrzymała jakiś list, odmienny od tych wszystkich listów, które jej co wieczór przynoszono. Flush odczuł to ze sposobu odczytywania tego listu przez Miss Barrett, z jej zdenerwowania.

Nasrożył się, zwęszył niebezpieczeństwo. Nikt poza Flushem w całym domu nie zauważył zmiany, jaką list ten spowodował w Miss Barrett.

Listy stawały się coraz częstsze, a zmiany w Miss Barrett coraz głębsze. Trwało to cztery miesiące, do maja. Flush przeczuwał, że niebezpieczeństwo coraz bardziej się zbliża.

21 maja — stało się.

Miss Barrett dnia tego ubrała się z wyjątkową starannością. O wpół do trzeciej zapukano do drzwi. Flush wiedział, że to idzie on — człowiek, który odbierze mu Miss Barrett.

Służąca zameldowała Mr. Browninga. Wszedł człowiek pewny siebie, dobrze ubrany. Uścisnął wyciągniętą dłoń Miss Barrett, opadł na fotel obok sofy. Potoczyła się długa rozmowa. Flush poczuł się niewymownie samotny. Zawył żałośnie, ale oni go nie słyszeli.

Tego wieczoru Miss Barrett zjadła swoje kurczę do kostki. Flush nie dostał nic. Wszędzie prześladował Flusha zapach Mr. Browninga.

A Miss Barrett stawała się z dniem każdym silniejsza i zdrowsza. Pewnego dnia odbyła nawet pieszą przechadzkę po ulicy. Jeden tylko Flush wiedział, skąd Miss Barrett bierze siły — od ciemnego człowieka w fotelu, który był jej codziennym gościem i którego Flush nie mógł znieść.

*

Minęło lato, przyszła zima, powróciła wiosna. Flush czuł zbliżającą się katastrofę. W pokoju Miss Barrett zaczął się ruch. Pudła wydobywano nawierzch i odkurzano. Zapanowała atmosfera, która zawsze towarzyszy przygotowaniom do podróży. Miss Barrett coraz mniej zwracała uwagi na Flusha, i coraz silniejszą Flush pałał zazdrością.

W lipcu Flush nie mógł opanować swoich uczuć. Pogrążył zęby w nienagannych spodniach Mr. Browninga. Noga była twarda jak kamień. Mr. Browning odsunął go nabok lekkim ruchem ręki i mówił dalej.

Kiedy Mr. Browning wyszedł, Miss Barrett mocno zaczęła strofować Flusha. Powiedziała mu, że go już więcej nie kocha.

„Na pysku jego odmalowała się rozpacz — pisała Miss Barrett, — i kiedy rzekłam nareszcze: „Flush, jeżeli jesteś dobrym psem, przeproś mnie" — rzucił się, cały roztrzęsiony, ku mnie, pocałował obie ręce, podał obie łapy i patrzył ślepiami tak błagalnemi, że przebaczyłbyś mu tak jak ja mu przebaczyłam".

Mr. Brownng istotnie przebaczył, ale Flush nie zawarł z nim pokoju. Któregoś dnia czekał na niego pode drzwiami i rzucił się na wroga, głośno ujadając. Służąca mocno go zbiła, a Miss Barrett jeszcze raz go strofowała.

I wszystko dlatego — że kochał Miss Barrett i chciał zamordować swego wroga i rywala... Nie dokonał swej zemsty. Wiedział, że nigdy nie zwycięży. Postanowił pokochać także Mr. Browninga i nie gryźć go.

*

W tym to feralnym czasie stało się okropne nieszczęście. Flush zniknął, kiedy Miss Barrett na chwilę puściła go bez smyczy w sklepie na Vere Street. Ukra-



Elizabeth Barrett-Browning

dli go zawodowi złodzieje psów. Zanieśli go do jakiegoś potwornego mieszkania na Whitechapel. Było tam kilka innych nieszczęsnych ofiar chciwych rzezimieszków. Flush nie mógł dotknąć tego paskudztwa, które mu dawano do jedzenia, nie mógł się zmusić do wypicia cuchnącej wody. Zobojętniał na wszystko i ożywiał się tylko wtedy, kiedy otwierały się drzwi. A nuż Miss Barrett...

A Miss Barrett musiała pokonać opór nietylko całej rodziny ale i Mr. Browninga, aby wykupić Flusha za dziesięć funtów z rąk oprawców. Dopiero po długich rokowaniach i poszukiwaniach, pewnego wieczoru, kiedy czekała na list Mr. Browninga, wpadł do pokoju Flush, wydostany z Whitechapel. Brudny, wychudzony, wybiedzony, skoczył ku misce, z której stale popijał wodę. Trzy razy napełniono miskę — a Flush ciągle pił. Czysta woda po tylu dniach cuchnącej cieczy na Whitechapel!

Flush pokochał swoją zbawczynię jeszcze bardziej. Cieszył się razem z nią, kiedy oglądała złotą obrączkę, skrzętnie chowaną przed oczami całej rodziny. Wiedział, że i on pojedzie, kiedy Miss Barrett potajemnie pakowała się do długiej podróży.

*

Trzy dni trzymano go w koszyku. Dochodziły do niego dziwne dźwięki, plusk wody, turkot kół. Odzyskał wolność w wielkim pokoju, w którym panowała niezwykła jasność i w którym nie było ani kominka, ani dymu. Na dworze jedna połowa była oślepiająco jasna i gorąca, druga ciemna i chłodna. Czuł się znacznie lepiej niż kiedykolwiek na Wimpole Street.

Wkrótce poznał i inne różnice między Pizą — bo razem z państwem Browning znalazł się w Pizie — a Londynem.

Psy były tu zupełnie inne. Tam w Londynie każdy miał rodowód i nazwę: był st. bernardem, fox-terrierem, buldogiem. A tu w Pizie co pies, to kundel. Psy były poprostu psami, i Flush czuł się jak książę na wygnaniu, jak arystokrata wśród pospólstwa. Był jedynym spanielem czystej krwi w całej Pizie.

Snob we Flushu — a był on wielkim snobem — szybko jednak stopniał pod gorącemi promieniami słońca włoskiego. Mrs. Browning mogła już w kilka miesięcy po przybyciu do Pizy pisać:

„Flush codziennie wychodzi i gada po włosku do małych tutejszych piesków".

We Florencji, dokąd się wkrótce przenieśli, zakończyła się demokratyzacja Flusha pod wpływem tego czego mu brakło w ciągu tych trzech lat. Miał nieograniczoną wolność i tyle znajomości wśród płci odmiennej ile zapragnął i ile wymagała jego psia natura.

Raz jeszcze przelotna chmura zawisła nad jego miłością do Mrs. Browning, kiedy na wiosnę 1849 r. nagle obudziło się w niej zamiłowanie do igły, kiedy przesunięto łóżko w jej sypialni i kiedy cały stos maleńkich białych ubiorów włożono do komody. Czuł nowe wielkie przemiany i znamienne oczekiwanie.

Mijały tygodnie, i Mrs. Browning coraz rzadziej opuszczała mieszkanie. Pewnego dnia nie pokazała się wcale w pokoju bawialnym, a do jej sypialni Flusha nie chciano wpuścić. Musiała się stać rzecz straszna.

Po wielu godzinach pokojowa wniosła go nareszcie do sypialni. Na poduszce poruszało się małe różowe zwierzątko. Mrs. Browning rozdwoiła się. To małe obok niej piszczało i beczało. Flush, wzburzony i zazdrosny, uciekł z pokoju, wybiegł, zrozpaczony, na ulicę.

Ale Flush już był dojrzałym i rozumnym psem, i wkrótce zrozumiał, że trzeba z tem nowem stworzeniem żyć w zgodzie. Lizał tedy z zamiłowaniem nóżki niemowlęcia i pozwalał mu targać się za uszy. Ku wielkiej uciesze Mrs. Browning bardzo się polubili i zaprzyjaźnili.

*

Za drugim nawrotem do Włoch Flush był już starym psem i nie mógł zażywać wszystkich przyjemności ulicy florenckiej, która przywitała go z największą życzliwością: psy, ludzie i przedmioty. Z własnej, nieprzymuszonej woli leżał długie godziny w sypialni Mrs. Browning, zamiast pod fontannami Florencji.

A w domu zaczęły się dziać dziwne



Mrs Browning robiła na drutach a Flush drzemał

rzeczy. Zbierali się jacyś ludzie o nieprzyjemnych zapachach, zasiadali dokoła stolików w ciemnych pokojach i nawet nie zwracali uwagi na to że Flush targał ich spodnie i spódniczki. W powietrzu unosiły się jakieś tajemne siły, które bardzo Flusha niepokoiły. Mrs. Browning coraz mniej zwracała na niego uwagi i albo siedziała z innymi dokoła stolika albo pilnie pisała. Wzrok jej szukał czegoś daleko. Patrząc na Flusha, nie widziała go.

Były to dla starego psa czasy bardzo przykre. Szukał sobie miejsca nazewnątrz, na balkonie, zdala od duchów i widziadeł.

Ale któregoś dnia, kiedy tak leżał na słońcu, jakaś przemożna siła pognała go do pokoju, gdzie była Mrs. Browning. Skoczył na sofę i mordę otarł o twarz swojej pani, zdziwionej tym nagłym przypływem czułości staruszka. Pogłaskała go obojętnie i dalej czytała.

Po chwili spojrzała na przyjaciela, ale on już na nią nie patrzył.

„Flush"!

Pies nie odpowiedział. Nie ruszył ogonem. Flush nie żył.

*) Flush. A Biography. **Virginia Woolf.** Londyn, Hogarth Press, 1933; str. 163 i 1nl. i tabl. 10.

MIECZYSŁAW CENA, dr. med. weterynaryjnej

Saga rodu terrierów

Przy pobieżnym nawet przeglądzie dzieł kynologicznych lub zwiedzaniu psich wystaw musi uderzyć każdego czytelnika czy widza olbrzymia ilość biegunowo od siebie różniących się przedstawicieli psich ras o dziwacznych nieraz nazwach.

Ogromna rozmaitość typów, kształtów i szaty futrzanej tworzy całą psią gamę,



Fox-terrier i scottish-terrier

której rozpiętość sięga od mikroskopijnych ratlerków do potężnych psów bernardyńskich i dogów, czy od nagiego pieska afrykańskiego do kudłatego pudla lub gryfona, które ledwo widzą oczami ukrytemi w gąszczu włosów.

Psy stanowią szczególnie plastyczny i nadający się do eksperymentalnej hodowli materjał, z którego dzięki umiejętnej krzyżówce i selekcji można wydobyć nowe psie formy i postacie, czyli poprostu tworzyć nowe rasy. Pod tym względem kynologja stanowi jedyny w swoim rodzaju wyjątek i rezerwat hodowlany, gdyż rasy wszystkich innych zwierząt domowych są już oddawna ustalone i tylko dostosowywane do pewnego standardu, podczas gdy „psia" kwestja ciągle jeszcze jest niezamknięta, a postępy wiedzy i rozszerzające się coraz bardziej kręgi amatorstwa powiększają psie społeczeństwo razporaz o nowe rasy.



Irish-terriery



Bedlington-terriery

Ponieważ pies stanowi znakomity motyw dekoracyjny, również wszechwładna moda nie mogła przejść obojętnie obok tej kwestji i „psim swędem" wcisnęła się w psią dziedzinę, czyniąc psa jakgdyby rekwizytem kobiecego stylu, który ma podkreślić typ piękności właścicielki. Toteż wpływ mody na popularność i rozpowszechnienie niektórych ras był i jest ogromny. Dzięki cichym, zakulisowym pociągnięciom mody wypływają na szerokie wody powodzenia pewne rasy, które później równie szybko staczają się w mroki niepamięci. Zwyczajnie zbyt wielka popularność, a zatem i rozpowszechnienie, które jest elementem wrogim atrakcyjności, wywołuje, że moda skazuje na banicję niedawno przez siebie lansowanych pupilów.

Dzięki takiemu ostracyzmowi mody zostały skazane prawie na całkowite wymarcie tak niegdyś modne wielopodbródkowe mopsy i krętowłose pudle, a obecnie przeżywają zmierzch sławy i powodzenia psy bernardyńskie i wogóle wszystkie olbrzymy psiego rodu. Dzięki ukrytym dźwigniom mechanizmu powodzenia wyszedł na szczyty popularności wilczur (owczarek alzacki), który już jednak przestał być atrakcyjny, osiągnąwszy według danych statystycznych „wierzchołkową" linję powodzenia w r. 1926. Takiemu samemu mechanizmowi szczęścia zawdzięcza swoje wzloty i upadki bokser, który modny przed czterdziestu laty, wpadł później w niełaskę, aby obecnie stać się znów faworytem przywróconym do łask. Ta wieczna ewolucja i zmienność w psim świecie uzależniona jest również od czynników gospodarczych, a nawet humanitarnych, które sprzeciwiają się więzieniu dużych psów w zamkniętych przestrzeniach wielkomiejskich. Najwięcej jednak zależy od ogólnego kierunku mody, która posiada przedziwnie silną ingerencję w życie kobiet, stanowiących większość właścicieli psów.

Strój i sylwetka przedwojennej pani, zamiatającej majestatycznie długą suknią ulice miasta, harmonizowała znakomicie z poważnemi ruchami psa bernardyńskiego lub wystrojonego w kręcone loki pudla. Gruntowna jednak zmiana mody i sylwetki kobiecej, którą sprowadziła wojna, musiała zmienić również styl psiej dekoracji. Wysportowana i „uproszczona" sylwetka dzisiejszej kobiety wymaga od psa dostosowania się do zmiany stylu i przybrania nowoczesnych form.

Skye-terrier

Nastąpiło więc odbronzowanie sławy starych psich ras i gruntowna zmiana psiego żurnalu. Do głosu doszła przedewszystkiem liczna rodzina terrierów, które — jak wykazuje geografja mody — są obecnie najmodniejszemi psami świata. Wraz z angielskim stylem ubioru doszły do znaczenia również te angielskie psy, których główny przedstawiciel, airedale-terrier, jest najgroźniejszym konkurentem owczarka alzackiego we wszystkich rodzajach służb, jakie pełnią te wszechstronnie użytkowe psy. Ten angielski „pies do wszystkiego", będący w jednej „osobie" gończym, wyżłem i wodołazem, psem policyjnym i wojskowym, zasłynął najpierw jako psi apasz, bohater zakazanych psich walk na przedmieściach Londynu; przy takiej właśnie niedozwolonej okazji odkrył go słynny kynolog Dalziel w jednej z małych miejscowości nad rzeką Aire. Zaalarmowani tem cennem odkryciem hodowcy angielscy z właściwem sobie zamiłowaniem wyprowadzili z tego surowego materjału rasę, która jest chlubą angielskiej hodowli i postawiła pod znakiem zapytania hegemonję alzackiego owczarka, dotychczas niepokonanego w światowej konkurencji psa niemieckiego. Wybitna inteligencja, łatwość i chęć uczenia się, czystość i łagodny charakter przy szaleńczej odwadze, poparte doskonałym stanem zmysłów, a zwłaszcza węchu, tworzą zespół zalet wprost nie do pobicia we wszystkich psich rodzajach zawodów. Rasa ta jest oczkiem w głowie Kennel Clubu, który opracował szczegółowy standard airedale-terriera, oczekując ze spokojem wyniku „świętej wojny" owczarków i terrierów o psi prymat.

Zanim jednak ukazały się na kontynencie airedale, którym pierwszeństwo wśród terrierów należy się nietyle z wieku ile z urzędu, oddawna znane były foxterriery, wywodzące swój rodowód z XV w. i uwiecznione na portretach Hamiltona. Zmiana mody coraz bardziej jednak usuwa stary typ gładkowłosy, forytując ostrowłose żywe zabawki, które stały się symbolem nowoczesności na psim terenie. Charakterystyczny pokrój „aerodynamiczny", w którym na pierwsze miejsce wybija się młotkowaty kształt głowy, umiejętnie stylizowany przez sterczącą szczecinkę włosów i uszy zagięte filuternie w kształcie rzymskiej piątki, obcięty sterczący kikut ogona przy dużej pewności siebie i wojowniczości takiego 8 — 9-kilowego malca, tworzą z fox-terriera zabawną psią figurkę, która przy dobrej pielęgnacji i staraniach psich instynktów piękności może doskonale imitować zabawkę zrobioną z włóczki.

Fox-terrier odziedziczył wszystkie cechy swojej rodziny, z których na pierwszy plan wybija się desperacka odwaga, pchająca go do nierównej nawet walki z olbrzymami psiego rodu, jakgdyby mały o „muszej wadze" terrierek nie dostrzegał dysproporcji swej masy z potęgą przeciwnika należącego do ciężkiej kategorji.



Sealyham-terrier

Najczęściej mimo też różnicy wagi spełnia się stare przysłowie „audaces fortuna iuvat", przyczem odwaga i szybkość decyzji są głównemi czynnikami zwycięstw małego zapaleńca.

Druga zaleta właściwa prawie wszystkim terrierom, to znakomita zdolność i prawdziwe zamiłowanie do tępienia szczurów. Pies taki z przedziwną pasją łowi szkodliwe gryzonie, które nawet dla specjalisty-kota są groźne, i składa je na jeden stos, prezentując wesoło swemu panu plon myśliwskiej pracy. O wiele większy jego kuzyn, bull-terrier, startuje nawet do zawodów na szybkość tępienia szczurów, które są urządzane we Francji i w Anglji. Na tych trzech rasach i na boston-terrierach, które są właściwie amerykańskiemi bokserami, kończy się użytkowa linja znakomitego psiego rodu, stanowiąca znakomity kwartet obronny.



West-highland-terriery

O wiele liczniejszy jest luksusowy odłam tej rodziny, której sztandarowym przedstawicielem jest krótkonogi, o „niskiem podwoziu" scottish-terrier. Ten pies-karykatura z krzaczastemi brwiami włóczęgi-recydywisty, o głowie którąby powinna spoczywać na karku dużego psa, stał się dzięki swej pokracznej, „nowoczesnej" sylwetce ostatnim krzykiem mody i on to wspólnie z ostrowłosym foxterrierem przyczynił się głównie do rozpowszechnienia pokojowej linji terrierów, która zdradza w ostatnich czasach tendencję do stałej ekspansji.



Cairn-terrier



Yorkshire-terrier

Kennel Club ma wiele pracy z rozpatrywaniem zgłoszeń nowych ras, które na tle sprzyjającej konjunktury wyrastają jak grzyby po deszczu. Lilipucie yorkshire-terriery, psy-małpeczki spokrewnione z kosmatemi pinczerkami, należą wraz ze skye-terrierami do najbardziej kudłatych przedstawicieli tego odłamu żyjącego na etacie salonu. Konkurują z niemi dandy-dinmond-terriery o ludzkim wyrazie psiej twarzyczki oraz sealyham-terriery, które przed rokiem obchodziły ćwierćwiecze narodzin w posiadłości swego twórcy kpt. Edwardsa. Do bardzo popularnych należą west-highland-terriery, podobne do małych białych niedźwiadków, które dzięki posłuszeństwu i wytwornym manierom zasługują całkowicie na nazwę psich gentlemenów i na popularność jaką cieszą się u synów i córek Albjonu.



Dandy-dinmond-terrier

Znakomitemi szczurołowcami okazały się irish-terriery, które bardzo blisko spokrewnione z airedalami, nazywane są przez Anglików dla swojej wojowniczości „djabelskiemi ryzykantami". Przedstawiciel tej rasy był nawet bohaterem londonowskiego dzieła „Mick, brat Jerry'ego". Charakterystyczną postacią w psim świecie są bedlington-terriery, psy-owieczki, które mimo potulnego barankowatego wyglądu mają znany tupet terrierów, a świeżo zostały wyspecjalizowane na psy strzegące pozostawionych bez opieki samochodów.



Airedale-terrier



Welsh-terrier

Te „autopsy", pochodzące z miejscowości Bedlington, osiągnęły dzięki swemu dziwacznemu wyglądowi duże szanse powodzenia.

Do najmłodszych ras długowłosych należy bliski krewniak bedlingtonów, skoligaconych z dandy-dinmond-terrierami, zwany border-terrierem, którego wpisano do księgi rodowodowej Kennel Clubu dopiero przed szesnastu laty, pozatem ostrowłose welsh-terriery, clydesdale-terriery, kerry-blue-terriery i cała plejada nowoczesnych kudłaczy o dziwacznych angielskich nazwach, których mnogość może wprowadzić w zdumienie obserwatorów twórczej pracy angielskich kynologów w dziedzinie psiej hodowli. Prócz tych ras długowłosych są jeszcze odmiany krótkowłose, black-terriery i tan-terriery, zwane krótko manchesterami.



Kerry-blue-terrier



Bull-terrier

Rodzina terrierów rozszerza się coraz bardziej i ugruntowuje swoje wpływy w królestwie hodowli i mody.

JANINA MORSTINOWA

Pławowickie psy

Prym trzyma między niemi, jeśli chodzi o rasę i piękność, Demon, syn Dojana, wnuk Henosa, prawnuk Tamira, „dalszy rodowód zobacz..." — piszą dumnie w jego papierach. Jest to krótkowłosy bernard z Simplonu.



L. H. Morstin z Wróżką

Przyjechał do nas z Pomorza, a wieść o tem wydarzeniu przywiózł zziajany rowerzysta:

— Jest na kolei pies, pies jak lew.

Odtąd gdzie się ukaże, budzi sensację i przyjemne dreszczyki grozy na niby. Dzieci z piskiem uciekają, chowając się za krzaki, zza których dopiero go wo-



Demon

łają, dorośli z godnością obchodzą go zdaleka. Naprawdę groźny nie jest, bo nie ma złych zamiarów, a tylko przewraca ludzi swym ciężarem. Jego najserdeczniejsze przywitanie jest ciężką próbą siły, a jeśli skoczy na człowieka nieprzygotowanego, przewróci go z pewnością. Ma też trochę nieopanowane ruchy: gdy



Kasia i Demon

się rozpędzi, szarżuje jak warjat i nie umie na czas się zatrzymać, albo zgrabnie wyminąć przeszkodę, ufa po szczenięcemu, że jakoś to będzie. To jeszcze dziecko, gdyż nie ma roku. Choć waży już 62 kg, rosnąć będzie podobno do lat trzech. Narazie nie umie kierować swojem olbrzymiem cielskiem, i plączą mu się łapy.

Żyje w wielkiej przyjaźni z małą cockerką (spaniel), bawią się ze sobą godzinami, ona go najbezczelniej tarmosi za zwisające policzki i włazi mu na głowę, wiesza się też chętnie na ogonie zębami i tak jeździ wkoło niego jak na karuzeli. A Demon kręci się wkółko, chcąc się oswobodzić, z miną raczej znudzoną. Nigdy się jednak nie zniecierpliwi, bo mała cockerka Kasia, to jego miłość.

Demon ma jedną antypatję: — Rina, gryfona, psa do polowania. Całe dnie mijają bez bójki, gdyż obaj, wiedząc o swych wzajemnych uczuciach, wyraźnie się unikają, ale jeśli się znajdą w bezpośredniem sąsiedztwie, dzieją się rzeczy straszne. Kiedyś, chcąc ich mieć razem na fotografji, aby wykazać, ile Demon jest większy od dużego wyżła, zbliżyłem ich podstępnie. Wynikła z tego taka awantura, że ani wrzaski ludzkie, ani lanie wodą, ani baty nie mogły ich rozłączyć. Wyszli z tego dziwnie lekko ranni. „Coby tam psu było" — mówią w takich



Rin

wypadkach ludzie, a jednak przy jodynowaniu obaj wojownicy trochę piszczeli.

Obaj też mieli dostać lanie, ale ogrodniczka, właścicielka Demona, która kocha go nad życie, twierdziła, że nie on zaczął, z czego się wytworzył obóz obrońców niewinności Rina i trzeba było dla świętej zgody całą sprawę zatuszować. Zresztą Wróżka, żona Rina (i zarazem jego matka, bardzo przepraszam, ale tak jest), kuliła się do nóg cała drżąca z



Pikuś

przestrachu, więc i jej nerwy należało oszczędzić, i karę odłożyliśmy na przyszły raz.

Rin i Wróżka, to bardzo przykładne małżeństwo: on jest nieznośny szałaput, nawet na polowaniu nie umie opanować swej radości życia, zapomina o myśliwym, wystawia kuropatwy bezsensownie daleko, tak jakby jego pan mógł uganiać po polu buraków i skakać przez łęty od ziemniaków w tem tempie co on. Ze smyczy się wyrywa najsilniejszym



Rex

chłopakom, jest za mocny, za żywy, za młody. Zato Wróżka jest cicha i dyskretna, pełna delikatności, na polowaniu uległa, uważna, świetna aporterka; wpatrzona w myśliwego smutnemi zakłaczonemi oczami, zdaje się mówić: nie przemęczaj mnie.

Regularnie dwa razy do roku ma młode, zawsze z Rinem, nie potrzeba pilnować jej zachowania, dzieci są zawsze rasowe. Czy jej się inne psy nie podobają, czy też nie ma powodzenia u kundli, pozostaje jej tajemnicą.

Dziwnie porządnie się to stadło prowadzi, bo i o Rinie, mimo dzikiego temperamentu, nie słychać aby chodził na agary.

Nigdy nie opuszcza swego miejsca przed domem, gdzie udaje pomnik, leżąc na parapecie. Godzinami czeka, aby pójść na spacer. Świat cały przed nim otwarty, pola i łąki bez żadnego ogrodzenia nęcą z pewnością śladami zająca, kuropatw i boćków, które tak lubi płoszyć, a jednak psy nigdy nie wybiorą się same w pole, bez towarzystwa człowieka. Przedziwna to spółka — co ich właściwie łączy, przy tak różnych zainteresowaniach?

Jest w Pławowicach jeszcze fox-terrier znajda. Niewiadomo, oczywiście, skąd się wziął, kto go zgubił, jaka jest jego historja. U nas nazywa się Pikuś, choć nikt nie wie, jak go wołali jego dawni chlebodawcy. Musi być z daleka i długo musiał wędrować, gdyż przyszedł bardzo zbiedzony i trzęsący się jak w febrze. Przygarnął go stawniczy, tak zwany Józek-rybak, próbował go wołać wszystkiemi psiemi imionami, jakie znał, i uznał, że na słowo „Pikuś" najwięcej się biedny psiak wzruszył, więc tak zostało i dzisiaj już zaadoptował swe tutejsze imię, uznał się Pikusiem. Z tych przejść został mu uraz psychiczny, to nie jest normalny pies. Jest nieufny i zły. Szczeka na każdego, kto się zbliży do domku Józka-rybaka, i jakgdyby nie miał pamięci, ciągle nanowo trzeba się z nim zaznajamiać. A nawet, jeśli człowieka pamięta, zawsze myśli, że mu się chce krzywdę zrobić, i trzeba mu okazywać specjalną życzliwość, aby wybił to sobie z głowy. Stosunki z nim są męczące. Złe języki mówią, że zdolny jest do cichego podbiegnięcia i ugryzienia odtyłu, co jest zwyczajem małych kundli, a nie przystoi rasowemu psu, chociażby nawet zeszedł na psy.

Mówiąc o psach pławowickich, należy wspomnieć o „nieboszczyku Rexie", jak o nim mówią wiejskie dzieci. Był to wilk — osobisty przyjaciel Leopolda Staffa. Kilka lat chodzili razem na długie spacery, co rano budził go, wpadając z trzaskiem do pokoju, aby zobaczyć, czy pierwsze śniadanie podane. Zostawiał drzwi naoścież otwarte, codzień państwo Staffowie parokrotnie musieli wstawać, aby drzwi na korytarz zamykać po takiej wizycie.

Przyjaźń Rexa ze Staffem zaczęła się od tego, że w czasie zjazdu poetów przyniósł mu do łóżka cegłę, co naturalnie było przyjęte ze zrozumieniem intencji, jako wielkie wyróżnienie spośród innych poetów, z kórych nikt cegły nie dostał.

Rex dużo miał ze Staffem wspólnych umiłowań, ale były między nimi też różnice. Obaj lubili chodzić zielonemi groblami koło stawów, tylko że Rexa widok wody tak roznamiętniał, iż nie mógł się powstrzymać od ciągłego szczekania, co znowu Staffowi przeszkadzało w „słuchaniu ciszy". Czasem wymykał się w tajemnicy przed Rexem, o co Rex się bardzo obrażał, tak bardzo że wynosił się do Piekar, folwarku odległego o dwa kilometry, gdzie zostawał czasem kilka dni, poczem głodny wracał do domu. Po każdej takiej rozłące powrót Rexa witany był radośnie. Psisko wpadało jak warjat do pokoju państwa Staffów rozwalając drzwi szeroko, okna trzaskały od przeciągu, jeśli jeszcze nie dość mu było rwetesu, szczekał im do ucha lub tańczył na środku pokoju fantastyczny taniec, wyrażający najwyższą radość, t. j. młynek w poszukiwaniu własnego ogona, poczem wylatywał jak szalony. A państwo Staffowie zamykali za nim drzwi z uczuciem ulgi, że Rex im wybaczył. W całym domu mówiono o tem, że Rex już wrócił.

Jest w Pławowicach pewna droga, którą Staff nazwał „via del tradimento" na pamiątkę jakiegoś poważniejszego nieporozumienia ze swym przyjacielem, nieboszczykiem Rexem.

POLSKI ZWIĄZEK HODOWCÓW PSÓW RASOWYCH

dorocznym zwyczajem organizuje w dn. 6, 7 i 8 czerwca b. r. na Dynasach (Oboźna 3)

WIELKI POKAZ PSÓW RASOWYCH

POŁĄCZONY Z PREMJOWANIEM WYSTAWIONYCH OKAZÓW

TADEUSZ HELLER

Kupuję psa

Decyzja nie jest bynajmniej łatwa.

Najprzód głucha i ślepa obojętność na wszystkie rzeczywiste, a tem więcej — urojone zalety całego rodu. Od czasu do czasu wybuch gniewu i zaciekłe pomstowanie na sąsiadów: żeby w przyzwoitej kamienicy nie było zakazu trzymania psów, psiakość!

Potem jeden sympatyczny egzemplarz, gdzieś u znajomych, pogłaskany (kiedy już poprostu nie wypada) nieśmiało, czasem z obawą: bo to nigdy niewiadomo, czy nie gryzie, a przytem pchły... Za cenę tego pogłaskania kupiona sympatja, objawiająca się wahadłowym ruchem ogonka z jednej i coraz śmielszemi pieszczotami z drugiej strony.

Potem długo nic.

Potem druga przyjaźń, równie przelotna, równie pośpieszna i powierzchowna, tylko już śmielsza w objawach. Ale obaj reprezentanci traktowani są jeszcze jako wyjątki — awersja do całego rodu nie znikła.

Aż tu kiedyś jakaś wzruszająca historja, podobno zupełnie autentyczna (jakżeż? z tak wiarogodnych ust?) o nieprawdopodobnej wprost inteligencji jakiegoś owczarka, o przywiązaniu jakiegoś tam pudla, o czułości i takcie nieodrosłego od ziemi gryfona, o sprycie jakiegoś pospolitego kundla. Historje nieraz zupełnie jakby żywcem zerżnięte z budujących opowiadań dla młodzieży. Wzruszające niezmiernie. Zwłaszcza te o wierności i przywiązaniu, zwłaszcza wtedy gdy się już kto dotkliwiej sparzył na ludziach.

Tak dojrzewa pomału postanowienie, coraz silniejsze i bardziej nieodwołalne. Budzą się jeszcze logiczne sprzeciwy: że kłopot, że koszt, że brudzi, że dziecko... Ale coraz już częściej rozważa się szeroko w kręgu rodzinnym zagadnienia rasy (...byle nie buldog, bo brzydki, i byle nie chart, bo głupi...), płci (...podobno suki są bardziej przywiązane, ale zato w okresie miotu...) i wieku (...najwyżej pół roku, żeby się przyzwyczaił...).

A nakoniec, kiedy się już ostatecznie sprecyzowało upodobania i uzgodniło je ze wszystkimi domownikami, kupuje się — djabeł wie czemu — coś wręcz odmiennego. Wynika to przedewszystkiem z samej techniki kupowania psa, która posiada u nas wszystkie cechy przypadkowości.

Zamożny znawca kupuje psa u hodowcy, zmierzywszy uprzednio szerokość piersi i długość pyska oraz obejrzawszy starannie podniebienie, uszy a nawet ciuczkę; przechowuje skrzętnie w biurku wysokie i rozgałęzione drzewo genealogiczne swego pupila wraz z uwierzytelnionem „świadectwem krycia" oraz fotografjami psiej pary rodzicielskiej. Wiadomo: ma na to dość czasu i pieniędzy.

Ale t. zw. „szary człowiek" żyje zbyt pośpiesznie i zbyt skromnie, aby miał czas na takie „fanaberje". Skoro nawet żonę wybrał sobie między dwiema partjami brydża lub dwoma obrotami karuzeli, a w każdym razie między późną kolacją a wczesnym spoczynkiem — czemużby miał się bardziej kłopotać o psa? Wybiera go więc gdzieś na ulicy, potrącany przez przechodniów, z zanadrza obdartego sprzedawcy, który nie stawia przesadnych wymagań, a i te nawet gotów zawsze zredukować do przystępnych rozmiarów. Potem okazuje się oczywiście, że pies jest przycharakteryzowany zlekka na rasowego wilka, że ma przetrąconą łapkę, połamane żebro lub niewyleczoną nosówkę.

Temu właśnie „szaremu człowiekowi" należałoby polecić zewszechmiar odpowiedniejszy, a przytem niezmiernie interesujący sposób nabywania psa. Trzeba na to tylko jednego niedzielnego przedpołudnia i jednego egzemplarza znanego organu nekrologowego. Znajdzie się tam w rubryce drobnych ogłoszeń — między wiadomością o sprzedaży opon i drugą o kupnie radjoaparatu — sporo adresów, które warto sobie zanotować.

Gotowe? Idziemy!

*

Ruchliwe ulice śródmieścia, ale częściej ciasne, bezludne zaułki peryferyj. Lśniące „marmurowe" schody frontowych mieszkań, ale częściej zdeptane, kręte i brudne w oficynach. Eleganckie saloniki (lanszafty, poduszeczki, arlekin z głupkowatą miną), ale częściej izby nieforemne na parterze lub „czwartaku" (pochyły sufit, ciasne przejście między wysoko zasłanem łóżkiem a komodą).

Wszędzie powitają nas nadwyraz chętnie, z nazbyt wylewną gościnnością, wskazującą nietyle na dobre obyczaje państwa domu, co na znikomą ilość zainteresowanych odbiorców. Świadczy o tem również wymownie fakt, że nigdzie nie zetkniemy się z innym kandydatem na nabywcę, a choćbyśmy przyszli nawet po upływie tygodnia od chwili wydrukowania ogłoszenia, możemy być pewni że sprawa nie utraciła jeszcze aktualności.

Nie zrażajmy się także wysokością żądanej ceny: w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto (i to zarówno na pierwszem piętrze jak w suterynie) maleć ona będzie z każdym naszym krokiem ku drzwiom, aż wreszcie, gdy znajdziemy się już na najniższym podeście schodów, zredukuje się do połowy pierwotnej cyfry. Co tu dłużej taić — kryzys nie oszczędził i tej gałęzi handlu.

Większość zaoferowanych psów, to oczywiście, szczeniaki, młody wiosenny przychówek, sprezentowany po uprzedniem usunięciu matki, lękającej się o los swoich małych i zagniewanej na obcego przybysza. Niemniejsza obawa trapi i sam objekt tranzakcji. Wesoły i ciekawski, dopóki znajduje się jeszcze na podłodze, drży ze strachu gdy go wziąć na ręce. Trzeba długich, serdecznych pieszczot, aby uspokoiło się rozdygotane serduszko, którego łomot czuje się wyraźnie przez pomarszczoną „na wyrost" skórę. Trzeba zasłużyć na zaufanie, aby mały, podkręcony ogonek uderzać począł miarowo o jedną dłoń, gdy druga oblizywana będzie pracowicie różowym uciesznym języczkiem.

O wiele trudniej pozyskać sobie podczas tak krótkotrwałej wizyty dorosłego psa. Każdy z nich spełnia z przyjemnością rolę naszego przyjaciela, sługi a nawet niewolnika, ale nie lubi oczywiście, gdy mu się kłuje oczy przypomnieniem jego niedobrowolnej pozycji socjalnej, a tem bardziej gdy się lekceważy jego indywidualność w wyborze opiekuna. Jestem pewien, że niejeden z psów, jakie widziałem podczas swej niedzielnej wędrówki, wyczuwał cel mojej wizyty nieomylnym instynktem i ową przedziwną intuicją, która pozwala psu przeczuwać nawet nadciągającą śmierć człowieka.

Ale już za Lorda daję głowę.

Bo proszę: mieszkanie pewnego emeryta, zaciszne, staroświeckie, wygodne. Cocker-spaniel Sambo i roczny doberman, ów Lord właśnie. Sambo biegnie ku mnie w radosnych podskokach, łasi się, merda porozumiewawczo ogonem. Dobrze mu, cieszy się życiem. Ralf zachowuje się z rezerwą, najprzód warczy, niegroźnie zresztą, potem zaszywa się w najmniej dostępny kąt pokoju. Okazuje się, że to on właśnie przeznaczony jest na sprzedaż i że zawsze podobno towarzyski i przystępny, zachowuje się w tak podejrzliwy sposób już od samego rana, od chwili, kiedy oglądał go pierwszy „klient". Skoczył wówczas w kierunku swego pana, począł ocierać się o niego miłośnie i lizać go z bezgraniczną czułością, a wreszcie skrył się pod łóżko. Podczas następnej wizyty zachował się jeszcze bardziej niespokojnie, a nawet zapragnął uciec na podwórze przez okno parterowego mieszkania.

Z trudem udaje się go wywabić na środek pokoju, ale też jest to jedyna koncesja z jego strony. Zachowuje się tak jakby mnie lekceważył i zarazem obawiał się, stąpa sztywno i nie spuszcza ze mnie złego oka. Starszy pan jest zażenowany ale napróżno usiłuje go rozruszać. Lord nie chce ani mu podać łapy, ani położyć się, ani aportować. Zachowuje tak odpychający, głupkowaty spokój, iż zaczynam nabierać podejrzeń, że albo jest chory, albo też należy do najmniej sympatycznych przedstawicieli swego rodu. Zapewnienia o niezwykłych walorach jego psiej psychiki traktuję jako zrozumiałą lecz niefortunną akcję reklamową i opuszczam mieszkanie, odprowadzony życzliwem szczekaniem Samba, który skończył właśnie rozplątywanie drugiego już sznurowadła u moich pantofli.

Z podwórza raz jeszcze zaglądam przez parterowe okno i widzę oba psy, zabawiające się wesoło popychaniem przewróconego kosza od śmieci. Lord wygląda jak odrodzony i dopiero, zwęszywszy mnie od strony okna, skacze imponującym susem na parapet i warczy, ukazując żółte kły. Jestem pewien, że umyślnie chciał wydać się jaknajgorzej, nie mając ochoty opuszczać swego dywanika, na którym tak dobrze siedziało mu się z głową między artretycznemi kolanami chlebodawcy.

Nie mam również najmniejszej wątpliwości, że o celu mych odwiedzin wiedział dobrze jasnosrebrzysty wilczek, którego oglądałem u handlarza psów na Powiślu. Zamknięty w małym, ciasnym i smrodliwym pokoiku, wespół z jakiemiś pokracznemi cudakami psiego rodu, gdzie jedynym godnym towarzyszem był zły ostrowłosy terrier (cóż z tego, gdy uwiązany i z kagańcem na pysku?), łasił się do mnie i wył prosząco i płakał smutnemi oczami, aby go stąd zabrać tam gdzie za szyba czekał uśmiechnięty i wesoły kamrat — maj.

Ogłoszenia w gazetach, choć krótkie, brzmią zawsze niezwykle zachęcająco obiecując dyplomy, medale, rodowody i inne emblematy psiego szlachectwa. Na miejscu sprawa przedstawia się zwykle nieco inaczej: dowody bywają mocno niewystarczające, opierają się często na mętnych świadectwach, wypisanych przez właściciela psa, który krył matkę, na rodowodzie domniemanej czy hipotetycznej tylko prababki, albo zgoła na jakichś legendarnych podaniach rodzinnych, przekazywanych z ust do ust.

„Szczeniaki bernardyny po Barrym tanio odstąpię"... Istotnie po Barrym, ale nie tym historycznym z etykiety Sucharda; albo to jeden Barry na świecie?

„Pekińczyki hodowli króla angielskiego"... Okazuje się, że jeden z nich odznacza się istotnie zdumiewającem podobieństwem do królewskiego pupila, reprodukowanego przez angielski magazyn. I tyle tylko.

Jestem zresztą najgłębiej przekonany że nawet i ten autentyczny londyński pekińczyk, mimo swych dostojnych znajomości, nie może się poszczycić tak osobliwą galerją przodków, jaką zademonstrowano mi w mieszkaniu jakiegoś szewca na Starem Mieście, gdzie trzy pokolenia wypchanych foxterrierów zaświadczyć miały o autentyczności krwi swego potomka, przemiłego zresztą Cyganka, który zdradzał równie chwalebną obojętność dla swych antenatów co zdrożne zainteresowanie dla moich sznurowadeł.

Najpospoliciej podawany powód sprzedaży psa, to wyjazd na lato lub zakaz właściciela kamienicy. Kto chce, niech wierzy. Ale kto nie chce, niech zwróci uwagę na poobgryzane nogi u palisandrowych krzeseł, na zatrwożony wygląd pani domu, na obwiązaną rękę służącej. Często jeden rzut oka na wpół „wykończony" pantofel wystarcza, aby przekonać się, że zachwalany pupil ma wady które wydatnie utrudniają z nim współżycie.

Nikt nie przyzna się również oczywiście, że sprzedaje psa spowodu trudnych warunków materjalnych. Nawet w mieszkaniu, w którem jedyną już chyba zbywalną ruchomością był właśnie pies, powiedziała mi wymizerowana kobiecina, siląc się na niedbały ton:

— Widzi pan, wyjeżdżamy oboje z mężem na sezon do Ciechocinka. Cóżbyśmy tam z psem robili, prawda, Kostuś?

Ale Kostuś zdobył się tylko na potakujące chrząknięcie spoza swego pięciogroszowego kurjerka, w który wpatrywał się nieruchomemi oczami.

Rzadko kto potrafi podnieść istotne walory sprzedawanego psa i sprezentować jego rzeczywiste zalety. Zazwyczaj poprzestaje się na niemądrych poleceniach (— daj łapkę, a teraz drugą, służ, kładź się —), które pies wykonywa z mniejszą lub większą opieszałością, zmieszany obecnością obcej osoby lub niedość wprawiony w swe prymitywne i niepożyteczne „sztuki".

Najczęstszym jednak argumentem jest wzgląd na reprezentacyjność psa, jeżeli jest duży, lub dekoracyjność — jeżeli mały.

— ...ilekroć wychodzimy na ulicę, oglądają się za nim...

— ...ślicznie wygląda na tle jasnych poduszek...

— ...budzi powszechne zainteresowanie swym wyglądem... — słyszy się najpospoliciej. A tu okazuje się przypadkiem, że ma i świetną pamięć i łatwość kojarzeń spryt i odwagę, czego jakoś właściciele nie zdążyli zauważyć.

*

Mimo że tak źle prezentowane i oglądane tak pobieżnie, w niekorzystnych dla siebie warunkach, potrafią jednak często zmiejsca zdobyć naszą sympatję jakimś niewytłumaczonym darem podobania się (o mało nie napisałem „sex-appealem" i kto wie, czy nie miałbym słuszności).

I dlatego, gdyby kto miał ochotę powtórzyć za mną tę wycieczkę, nie mając zgoła ochoty kupienia psa, a dla samej tylko perspektywy zawarcia kilku nowych psich znajomości, niech przyjmie ode mnie jedną praktyczną radę: niech wybierze się, opróżniwszy uprzednio starannie kieszenie z pieniędzy. Bo może się zdarzyć, że — nie wiedzieć jak — powróci do domu z psem, którego kupi, poruszony przymilnym gestem lub kokieteryjnem spojrzeniem.

Ty mógłbyś coś o tem powiedzieć, prawda, Rex?

Psy naszych czytelników



King-Charles-spaniel Tauri (własność Ewy Eichhornówny w Krakowie)



Welsh-terrierka „Maid of the Sea" (własność Leona Lamli w Knurowie), championka międzynarodowa



Ostrowłosy fox-terrier Terry (własność Janiny Wiedman w Przemyślu)



Wilk Boy (własność Katarzyny Cronowej w Grodzisku)



Doberman Dudek (własność Zofji i Kaz. Grudzińskich we Włochach)

André Gide i losy pewnego psa

Czy wolno było zabić?

„Przyjaciel Psa" otwiera ankietę wśród przyjaciół psa

W jednym z ostatnich numerów „Nouvelle Revue Française" ukazał się następujący artykuł André Gide'a:

„Porządkując papiery, znalazłem odpis listu, który wydawał mi się interesujący i zasługujący na przechowanie. Zdarza mi się czasem, iż otrzymuję list od kogoś, czyj zawód nie ma nic wspólnego z pisaniem, a kto ani trochę nie starając się o wzruszenie jakiejkolwiek publiczności, a tylko poprostu przez bezpośrednie i naiwne wypowiedzenie *swojej* prawdy pozostawia daleko za sobą podstępy najbardziej szczwanych literatów. List, który przytaczam, był pisany przez mojego szwagra przed czterema laty. Szwagier mój żył zawsze w zupełnem odosobnieniu od świata; hodowca czuje się najlepiej w towarzystwie hodowanych zwierząt. Pozatem głównem jego zajęciem jest polowanie. Nie żyje zresztą bez lektury, bez upodobań i zainteresowań literackich, jak to widać z jego opowiadania, które przytaczam:

„...Trzeba mi z ośmiu dni, abym się uspokoił po wielkim gniewie, w jaki wpadłem przedwczoraj wieczorem.

Po obiedzie spacerowałem z Janiną wzdłuż brzegu dolnej Sekwany. W miejscu, w którem rośnie trzcina i gdzie często spotykałem wieczorem kaczki i cyranki, machinalnie rzuciłem okiem na wodę, stojącą wtedy wysoko. Nagle zobaczyłem na poziomie wody coś czarnego, co się nie ruszało. Zdawało mi się, iż widzę kłębek sierści i oczy, z uporem patrzące we mnie. Mocno zaintrygowany zeszedłem na brzeg i zobaczyłem nieszczęśliwego psiaka, któremu do szyi przywiązano na sznurze wielki kamień. Głowa sterczała nad wodę, lecz wargi były zanurzone. Pies nie mógł wyć, ale oczy jego błagały.

Łatwo było odtworzyć całą scenę. Jakiś drab, chcąc utopić psa, być może, spowodu czterdziestofrankowego podatku, zaciągnął go na dwa metry od brzegu, gdzie sądził, iż woda jest głęboka, i odszedł pomimo wycia biednego zwierzaka, przypuszczając iż woda wzbierając, zatopi go. Chciałem rzucić się do wody, aby go wyciągnąć, ale Janina zatrzymała mnie, ponieważ byłem tuż po jedzeniu. Wówczas pobiegłem z pięćset metrów poprosić kosiarzy o pomoc w usunięciu wielkich kamieni z (słowo nieczytelne) i w przytaszczeniu psiaka przy pomocy drzewca od kosy. Jeden z nich przyszedł ze mną. Powiedział mi, że mamy czas, ponieważ woda opadała. Udało nam się wreszcie wyciągnąć psa. Nie mógł utrzymać się na nogach, tak był wymęczony. Miałem tylko dwa franki przy sobie, a dałbym, uradowany, z dziesięć. Później wytarłem psiaka — lizał mnie po rękach. Zawinęliśmy go w wełniany płaszcz Janiny. Kiedyśmy przyszli do domu, był niespokojny i ciągle biegał. Zbadałem go wtedy bliżej. Zauważyłem, że miał nie więcej nad cztery miesiące. Bękart ostrowłosego foxa, ale już zbyt wysoki w łapach: nie miał biedak żadnych szans. Wówczas wziąłem dla niego talerz z połową ciepłej zupy mojej suki i zaprowadziłem go na kraniec ogrodu. Jadł chciwie, machając ogonem. Kiedy kończył, kula roztrzaskała mu czaszkę razem z talerzem. Pochowałem go. Janka powiedziała mi: „Doprawdy szkoda"...

Tak, ale woda się cofała. Całą noc czekałby na śmierć z nowym przypływem. Dzięki mnie widział ludzi, którzy mu przyszli na pomoc, którzy go pieścili, i kiedy się już rozgrzał, kiedy miał brzuch pełen dobrej zupy, niczego nie podejrzewając, został wysłany ad patres.

Niemniej wszystko to tak mną poruszyło, że musiałem zażyć sporo belladonny, aby się uspokoić"...

Kiedym przeczytał to opowiadanie paru znajomym, byłem wcale zdziwiony, widząc iż wywołało bardzo rozmaite reakcje, począwszy od entuzjastycznej aprobaty („Ach, co za dzielny człowiek! Jakie to ładne co zrobił") aż do prostego wzruszenia ramionami („Po jakiego licha to uczynił? Ależ to pomyleniec! Trzeba było odrazu zabić psa, albo go zachować, skoro go się wyratowało"). Ta reakcja była, jak to można zauważyć w opowiadaniu, taka sama jak żony mojego szwagra.

Pomyślałem sobie, iż byłoby rzeczą interesującą zwrócić się z tem niewielkiem opowiadaniem do dzieci w szkołach Z S. R. R. Byłbym bardzo ciekaw ich reakcyj w tej sprawie. Wydaje mi się, iż mogłyby być rewelacyjne. Chętnie zrobiłbym podobne doświadczenie w szkołach francuskich, jeślibym tylko widział jakąś możliwość tego. Pomyślałem, że w Z. S. R. R. nie byłoby rzeczą niemożliwą, aby opowiadanie to zostało odczytane w szkołach i aby nauczyciele postawili uczniom szereg pytań: „Co myślicie o zachowaniu się pana X wobec psa? Czy sądzicie, że miał on rację, jeśli postąpił w ten sposób? Jak tłumaczycie sobie jego postępowanie? Jakie racje przytoczylibyście, aby je pochwalić, albo zganić? Cobyście zrobili na jego miejscu?" Oczywista, jest rzeczą ważną, aby nauczyciel nie zdradzał się przed dziećmi ze swoich reakcyj osobistych i ze swojego sposobu sądzenia, aby im zostawił zupełną swobodę wypowiedzenia się, bez próby interwenjowania lub też kierowania ich sądem. Jedyna rzecz, na którą byłoby jednak ważne, aby im zwrócił uwagę, jest to że mój szwagier zajmuje się „hodowlą" i przywiązuje z tego powodu (jeśli kto woli spowodu „zawodowej tępoty") wielką wagę do cech rozpoznawczych zwierząt. Trzeba jeszcze dodać, że jest to człowiek bardzo ograniczony w swoich możliwościach materjalnych i że nie może sobie pozwolić na luksus żywienia nadprogramowej gęby.

Myślę, iż gdyby odpowiedzi tych dzieci podano na piśmie, byłoby rzeczą ciekawą ogłoszenie co najważniejszych, co najcharakterystyczniejszych. Osobiście bardzobym chciał je poznać i wiedzieć w jakim sensie wypowiedziała się większość. Potem byłoby może rzeczą możliwą urządzenie podobnej ankiety dziecięcej w innych krajach.

Wiem, że ogłaszając to opowiadanie, narażam się na gwałtowne potępienie mego szwagra, ale to już sprawa między nim a mną".

Inicjatywa znakomitego pisarza francuskiego wydaje się nam niezwykle interesująca. Dlatego zwracamy się do czytelników „Przyjaciela Psa" z prośbą o odpowiadanie na pytania, postawione przez André Gide'a. Odpowiedzi najciekawsze drukować będziemy na łamach naszego miesięcznika.

Pies w sztuce



LUDWIK PUGET: Głowa psa

Puścizna po Mahomecie

W Bułgarji istnieje t. zw. „psi dzień", który przypada na 42 dni przed Wielkanocą, na t. zw. u prawosławnych „maslenicę". Myliłby się ktoś, mniemając, że ten „psi dzień" jest dniem, przypominającym o opiece i staraniu, które człowiek powinien okazywać swemu najwierniejszemu przyjacielowi, psu. Wręcz odwrotnie, możnaby go nazwać dniem okrucieństwa.

Inicjatorami zabawy są najczęściej chłopcy na wsi. W doły 1-metrowej głębokości wstawia się dwa ścięte pnie drzewne, o wysokości dość znacznej, które są wsparte i podsypane w ten sposób że dają się z łatwością pochylać pod różnemi kątami. Pierwsza pozycja drzew polega na prawie zupełnem zetknięciu się wierzchołków, od których zwisają dwa sznury. Jest to coś w rodzaju szubienicy. Wiejskie łobuzy spędzają psy pod tę szubienicę. Zaczepiwszy tylne kończyny psa w pętlę i zmieniwszy przytem odpowiednio nachylenie drzew, zaczynają huśtać biednego delikwenta. Pies wylatuje wgórę jak z procy, aby potem uciekać z przerażającym skowytem.

Ciekawe jest, skąd w Bułgarji, w krainie róż, winnic i słońca, mógł się zrodzić tak okrutny zwyczaj. Zapytani o tę egzekucję mieszkańcy nie wiedzą co odpowiedzieć, raz tylko „wszystkowiedzący" staruszek odburknął, że ma to zapobiec wściekliźnie.

Analizując sprawę z punktu widzenia przekazanych tradycyj i pokrewieństw zwyczajowych, można przyjść do przekonania, że jest to puścizna bardzo dawna. Prorok Mahomet, chcąc zabezpieczyć swych wyznawców, dawał im różne nakazy religijne, które w gruncie rzeczy były przepisami mającemi przeciwdziałać chorobom i epidemjom. Przypadkiem dowiedziałam się, że zwyczaj huśtania psów był znany i stosowany u Turków, jako próba badania psów na wściekliznę. Po takiej bowiem próbie pies, u którego zarazki znajdują się w stanie inkubacyjnym, tracił władzę w kończynach, co było dowodem jego choroby i pociągało natychmiastowy wyrok śmierci. Zwyczaj „psiego dnia" w Bułgarji, którego pochodzenie jest mieszkańcom nieznane, prawdopodobnie przeniósł się z Turcji na Bałkany i stanowi puściznę po Mahomecie.

Zofja Kelus-Lipkowska.

Wiadomości zagraniczne

rys. Lisl Weil

Pies w angielskim folklorze. Angielski folklor zna olbrzymiego psa o płonących oczach, który głuchą nocą przebiega przez odludne miejsca, obecnością swoją zapowiadając śmierć i nieszczęście. Nosi on rozmaite nazwy: w Walji nazywają go Gwvllgi, w Lancashire — Trush.

Ćwiczenia a rasy psów. Jak przypominają „Our Dogs", rodzaj ćwiczeń, potrzebnych do utrzymania psa w dobrej kondycji, zależny jest od jego rasy. Wielkie psy, jak bernardy czy brytany, podobnie jak i bardzo małe, np. pekińczyki, nie wymagają szybkich biegów („galloping exercises"), galop zato potrzebny jest do zdrowia takim psom, jak terriery czy alzatczyki. Sprowokować psa do biegu najłatwiej, rzucając mu piłkę czy laskę i każąc ją następnie przynieść. Nie należy tylko rzucać kamieni, gdyż zwyczaj aportowania ich w pysku psuje psu zęby.

Jak przyzwyczaić psa do ruchu ulicznego? W związku z grożącą naszym psom motoryzacją Polski warto przypomnieć, jak w Anglji przyzwyczaja się psy do ruchu ulicznego. Wypuszcza się tam psa na łąkę lub inną wolną przestrzeń i ściga się go przez kilka minut lekkim, łatwym do prowadzenia samochodem. Po kilku takich ćwiczeniach pies przyzwyczaja się widzieć w samochodzie najgroźniejszego swego wroga i starannie go odtąd unika.

Czy terriery się degenerują? W grudniowym zeszycie miesięcznika „Our Dogs" W. L. Mc Candlish dowodzi, iż najnowsze kierunki hodowli terrierów doprowadzają do degeneracji tej rasy. Hodowcy faworyzują pewne, wybrane cechy, zapominając o harmonijnym rozwoju psa, dzięki czemu najmłodsze roczniki terrierów nie są już tem „cudownem połączeniem siły i zgrabności", jakie powinno charakteryzować terriera.

Przesadza się w dążeniu do hodowania psów niskich, źle się rozumie zalecenie, iż pies powinien mieć „długą głowę". „Długa głowa" wtedy tylko jest u psa cechą wartościową, kiedy rozumie się przez nią długą czaszkę, a nie — jak to najczęściej bywa — długi pysk.

Czy pies samojedzki powinien być złośliwy? W brukselskim „L'Elevage" Vogt, „juge officiel de la Société Centrale Canine de France", rozprawia się z przesądem, jakoby pies samojedzki miał być dla ludzi złośliwy: „psy samojedzkie są dzikie i krwiożercze wobec wszystkich zwierząt, ale inaczej niż psy pasterskie, które potrafią być złośliwe i wobec ludzi, i wobec zwierząt, syberyjskie są w stosunkach z ludźmi bardzo łagodne".

Wilk psem policyjnym. „Wilczek chowany zrobił się grzeczny, bezpieczny": policja wiedeńska posiada wilka, który jako szczeniak został złapany przez jednego z oficerów policji w lasach bośniackich („niedaleko Wiednia" — informuje kronikarz londyńskiego miesięcznika) i wykształcony na psa policyjnego z takim skutkiem, że nietylko zdał wszystkie trudne egzaminy, wymagane od tego rodzaju psów, ale także jest dziś laureatem zgórą dwustu nagród.

Psi dyplom. Pies Gig, maskotka uniwersytetu — oczywista amerykańskiego — Milinkin University (Illinois), otrzymał stopień bakałarza kanineologji (Bachelor of Canineology) za pilne uczęszczanie przez cztery lata na wykłady i ćwiczenia. Uroczystość wręczenia — jeśli się tak wolno w danym wypadku wyrazić — Gigowi dyplomu zgromadziła ciało profesorskie uniwersytetu oraz liczny tłum studentów i gości. Dyplom — pergaminowy — zredagowano w łacinie.

Psia wełna. Jeden z angielskich psich miesięczników drukuje następujący list czytelniczki pisma: „Zbieram wszelką wełnę, którą sczesuję z sierści moich psów. Kiedy zbiorę z sześć funtów, myję ją starannie, suszę i przędę, a potem albo robię z niej roboty na drutach, albo oddaję do warsztatu tkackiego dla zrobienia z niej tweedu. Tylko dwóch i pół funta trzeba do zrobienia żakietu, sięgającego poniżej kolan, na całą suknię trzeba około trzech funtów przędzy. Wełna psia jest wyższej wartości od najlepszej wełny owczej, ale nie jest tak miękka i jedwabista jak wełna z króli-



rys. Lisl Weil



rys. Lisl Weil

ków angorskich. W czasie wojny i z jakie dziesięć lat potem było na nią wielkie zapotrzebowanie. Teraz zapotrzebowanie na surową wełnę osłabło, ale zawsze są amatorzy na części ubrania (rękawiczki, jumpery, pull-overy, pończochy do golfa i hockeyu oraz suknie i żakiety), które robię z wełny moich psów. Psy, przedewszystkiem dzięki ich wełnie i moim umiejętnościom przędzenia i tkania, dały mi możność wygodnego życia od dwudziestu zgórą lat".

Ciche gwizdki. W Birmingham zaczęto wyrabiać nowy rodzaj gwizdków na psy. Głosu ich człowiek nie słyszy, reaguje jednak nań pies, obdarzony dużo wrażliwszą od ludzkiej aparaturą słuchową. Przy pomocy takiego gwizdka można porozumieć się z psem, nie obrażając wcale słuchu obecnych bliźnich.

Tysiąc dolarów odszkodowania. Pewna Amerykanka, jadąc w pociągu z psem, została usunięta przez konduktora z wagonu na skutek interwencji pasażerów, którzy skarżyli się na zachowanie jej psa. Energiczna właścicielka psa zaskarżyła American Railway Company do sądu, dowiodła, że pies jej nikomu nie przeszkadzał, i otrzymała z wyroku sądowego tysiąc dolarów odszkodowania.

Pies rasy „cornieau". Jak plotkuje tygodnik „Cyrano", na jeden z paryskich pokazów psów zgłosiła się ze swym psem francuska aktorka filmowa Germaine Reuver. Na pytanie jury, jakiej rasy jest jej pies, odpowiedziała, że jest to „cornieau". Członkom jury nie wypadało się przyznać że z nazwą takiej rasy spotykają się po raz pierwszy w życiu, jeden z nich przypomniał sobie nawet, że „cornieau" są to „bardzo rzadkie i poszukiwane psy angielskie". W rzeczywistości „cornieau" znaczy w dialekcie normandzkim tyle co bastard.

„Sumienie Społeczne" a obrona zwierząt

Stowarzyszenie Obrony Wolności Sumienia w Polsce zaczęło wydawać miesięcznik „Sumienie Społeczne", pod redakcją prof. Marjana Lubeckiego (adres redakcji: Warszawa, al. 3 maja 2 m. 40).

Pismo to, stając na stanowisku totalnego humanitaryzmu, dąży „do pogłębienia etycznego i religijnego w duchu wolności i powszechnego braterstwa". W programie redakcji znalazło się również — co zainteresuje zapewne czytelników „Przyjaciela Psa" — hasło przyjaźni dla zwierząt, zadeklarowane w sposób dosadny w jednym z artykułów, zamieszczonych w nr. 1 (marzec 1936 r.). Wychodząc z założenia, że niema różnicy między współczuciem dla zwierzęcia i dla człowiekiem, redakcja wzywa do walki z okrucieństwem wobec „naszych mniejszych co do znaczenia, braci". Bez zastrzeżeń zgodzi się napewno każdy przyjaciel zwierząt z autorem artykułu, iż niepodobna odkładać tej sprawy do czasów, które zapewne nie rychło nadejdą, kiedy zabraknie cierpiących ludzi.

W dobie obecnej, gdy prasa notuje niemal codziennie wypadki znęcania się nad zwierzętami, sprawa ta godna jest, aby zainteresowało się nią nietylko „Sumienie Społeczne", lecz i sumienie społeczne.

Nowa klinika i schronisko dla psów

W kwietniu b. r. otwarto w Katowicach wzorowo urządzoną klinikę i schronisko dla psów, na wzór amsterdamski.

Oddział chirurgiczny kliniki posiada **karetkę pogotowia** dla psów, pozwalającą na natychmiastowy transport zwierząt chorych i okaleczałych przy częstych wypadkach samochodowych. Lewe skrzydło domu stanowi **oddział izolacyjno-obserwacyjny** dla zwierząt, podejrzanych o wściekliznę lub choroby zakaźne. Przy klinice znajduje się **schronisko** dla bezdomnych zwierząt. Urządzone jest w ten sposób, że każdy pies posiada 5 m^2 pomieszczenia. Katowice są niemal jedynem miastem w Polsce, nie posiadającem rakarza. Psy zbłąkane odstawia policja lub przechodnie do schroniska, gdzie po wykąpaniu w **specjalnych wannach** pozostają dwa tygodnie, aż do zgłoszenia się właściciela. Gdy po tym terminie nikt się nie zgłosi, psy stare i chore usypia się bezboleśnie i **pali w krematorjum**, psy młode oddaje się reflektantom, poleconym przez Śląskie Tow. Ochrony Zwierząt. Klinika udziela codziennie bezpłatnych porad niezamożnym właścicielom psów. Dzięki nowej placówce, każdy chory pies znajdzie lekarza a każdy zbłąkany — opiekę i pomieszczenie.

W „Skrzynce do listów" redakcja „Przyjaciela Psa" w miarę możności udziela bezpłatnych odpowiedzi na wszelkie pytania dotyczące hodowli psa

Skrzynka do listów

Prenumerator nr. 10 000. Radzimy jaknajszybciej zwrócić się do lekarza weterynarji, specjalisty chorób małych zwierząt. Sprawa — jak widać z listu Pana — jest dość poważna, podane jednak objawy są niewystarczające do odtworzenia na odległość obrazu choroby, a temsamem nie pozwalają na podanie przyczynowego leczenia, które może nastąpić jedynie po osobistem zbadaniu pacjenta.

Abonent z Katowic. W sprawie kupna pieska rasy chow-chow radzimy zwrócić się do Polskiego Związku Hodowców Psów Rasowych, Warszawa, Kopernika 30. Przedstawicieli psów tej rasy spotyka się w Polsce bardzo rzadko, a w dziesięcioleciu 1924 — 1934 na wystawach i pokazach warszawskich ta egzotyczna rasa była reprezentowana zaledwie przez dwa okazy.

Dr. M. C.

PRENUMERATA z przesyłką zł. 1,20 kwartalnie, zagranicą zł. 1,50. Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe. OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm, szerok. 1 szpalty 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota 8 m. 5, tel. 2-42-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Królewska 13, tel. 2-23-04 codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—10. Konto w P. K. O. 14.980.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI